Rok 1937 25 lipca Nr 30

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"



Chleb powszedni

Z szarej ziemi łaknącej wilgoci
wykołysał się z wiatrem łan żyta —
rozszumiał się i szczodrze rozzłocił,
żeby ludzie ziarn mieli do syta.

Ponad miedzą, co w maki się stroi,
utrudzone schyliły się kłosy —
toną pszczoły w słodyczach powoi,
zapatrzyły się chabry w niebiosy.

Tak się pole kołysze upojnie,
tak się serce jak zboże kołysze,
i tak kłosy pęcznieją dostojnie
w tę najświętszą spiekotę i ciszę.

Z czarnej ziemi w niedoli i trudzie
rośnie w słońcu powszedni chleb czarny —
rośnie z ziemi chleb dla prostych ludzi
w najgorętszej, upalnej męczarni.

Przez zagony wilgotne i czarne
wyschłą stopą chodził siewca bosy —
pot człowieka nie poszedł na marne —
już niedługo rozdzwonią się kosy.

Pójdę miedzą w to kipiące pole,
w gęstwę żyta, w brzęk i szept zawrotny,
pójdę miedzą, gdzie chwast i kąkole,
i odnajdę kłos ziarnem stokrotny,

Kłos ten zerwę południa godziną,
kiedy zboże uklęknie przed słońcem,
z kłosa tego na mą dłoń popłyną
jako ziarna krople krwi gorącej...

I uklęknę na miedzy wśród zboża
ja — kłos pusty — łanu dostałego —
i wyszepczą me usta w pokorze:
...daj nam dzisiaj chleba powszedniego...

Jerzy Drzewica.

Na łasce i niełasce wiatrów

I w tym roku, jak bywało w latach poprzednich, międzynarodowe zawody balonowe wzbudziły wszędzie wielkie zainteresowanie. Nic jednak nadzwyczajnego tym razem nie zaszło i darmo czekano wieści. któreby mówiły o przygodach podobnych do tych, jakie przeżyli zeszłego roku nasi lotnicy kap. Janusz i por. Brenk, a których balon L. O. P. P. zagnały wiatry daleko na północny wschód w sybirskie tajgi czy tundry (pisał o tym obszernie „Dzwoneczek“ w nrze 39 z r. 1936). W każdym razie taka powietrzna podróż, kiedy pasażerowie są prawie zupełnie zdani na łaskę czy niełaskę wiatrów, musi każdego zaciekawiać, to też opowiemy tu inną przygodę, jaka znów przed dwoma laty zdarzyła się naszym aeronautom, (tak nazywamy lotników balonowych).

Leciał wtedy na „Polonii II“ kapitan Burzyński z porucznikiem Wysockim i paru jeszcze uczestnikami. Na wysokości 3.500 m. nad ziemią zjedzono posiłek, który jednak bynajmniej nie ogrzał zziębniętych podróżników. To też z wielką radością przyjęli zapowiedź kapitana: „Schodzimy w dół, będzie cieplej“. Aby balon opadł niżej, musi się stać mniej nośny, czyli musi utracić nieco gazu, który go właśnie robi lekkim i unosi coraz wyżej w rozrzedzone powietrze. Do wypuszczania gazu służy w balonie umyślna klapa, którą się wtedy otwiera. Porucznik W. zatem pociągnął za sznur, lecz okazało się to daremne.

— Klapa nie działa — oświadczył kapitanowi.

— Jakto, nie działa, pociągnij pan jeszcze raz.

Pociągnął więc porucznik mocniej, szarpnął kapitan i inni — napróżno. Klapa się otworzyć nie dała, a balon unosił się coraz wyżej. Nie bardzo zrobiło się wszystkim wesoło, zimno dokuczało coraz nieznośniej. Lecz kapitan Burzyński, doświadczony w ciągu 14-letniego latania balonami, pocieszył wkrótce towarzyszy, oświadczając, że klapa tylko przymarzła. Szarpnięto więc jeszcze mocniej i odrazu usłyszano dobrze znany sobie syk ulatniającego się gazu. Balon natychmiast zaczął opadać, aż znalazł się z powrotem w poprzednich chmurach i mgłach, wśród których lotnicy dostrzegli blade światełka. Było to miasto Warszawa, dokoła której balon kręcił się w przeciągu kilku godzin, nie mogąc „złapać“ wiatru, co by go poniósł dalej. Znowu więc trzeba było otwierać klapę, aż znalazłszy się na linii jakiegoś wiatru, balon ruszył z miejsca i popłynął na południowy-wschód. W koszu balonu nastała cisza, którą starano się rozegnać opowiadaniem o balonowych przygodach.

Np. zdarzyło się raz innym lotnikom, że balon ich leciał nisko nad polami, gdzie właśnie złodzieje rozkradali chłopom stertę zboża. W tej chwili ryknął ktoś grubym głosem z balonu: Nie bierz złodzieju, co nie twoje, bo cię Pan Bóg skarze! Na ten „głos z nieba“ jak nie porwą się w nogi złodzieje, żaden z nich nawet ze strachu nie podniósł głowy do góry by się przekonać skąd głos pochodził, tylko porzuciwszy snopy, rozbiegli się na wszystkie strony.

Noc zaczęła powoli ustępować szaremu świtowi, a lotników coraz większe

ogarniało zmęczenie. Już można było rozróżnić lasy, pola, chaty, już i pianie kogutów dolatywało z ziemi, tu i ówdzie pastuch wioskowy zadzierał głowę w górę zobaczywszy coś lecącego wysoko. Lotnikom dokuczała nieznośnie niemożność zapalenia papierosa. Na balonie, oczywiście mowy o tym być nie może, gdyż groziłoby to katastrofą nieuniknioną. A ponieważ nałóg nie daje ludziom spokoju, kapitan zgodził się na lądowanie. Spuszczono na zewnątrz balonu wielki kłąb kokosowej liny, długiej na 80 m., zwanej wleczką, która rzeczywiście wlec się zaczęła po ziemi, szukając, niby kotwica okrętowa, jakiegoś zaczepienia.

Powlokła się przez pola i łąki, przesunęła się po przez las, smyrnęła po dachach ludzkich mieszkań i stodół, gdzieniegdzie spłoszyła ludzi, a balon płynął sobie górą nieprzerwanie. Dopiero daleko na jakimś polu gromada ludzi zebrała na odwagę i poczęła biec za uciekającym wciąż sznurem. Wreszcie chwyciło go ośm par silnych rąk lecz rady dać nie mogło. Balon pyszny ze swej siły ciągnął ludzi za sobą, powalał i pomiatał nimi po ziemi. Dopiero 14 par dłoni potrafiło „Polonię“ przytrzymać i do jakiejś gruszy „przycumować“ (wyrażenie marynarskie oznaczające przyczepienie statku do brzegu).

Odpoczynek z papierosami trwał pól godziny, po czym aeronauci wskoczyli z powrotem do kosza, a wieśniacy odwiązali balon od drzewa. W chwilę gdy uniósł się w górę, chłopi rozpoczęli jakby dziki taniec, ciągle ich bowiem podrywał od ziemi balon.

— Puśćcie wleczkę, bo was porwie w górę — krzyknął kapitan, widząc na co się zanosi.

„Polonia“ odciążona wzbiła się natychmiast w górę, jakby weszły w nią nowe siły, a lotnicy zaczęli wciągać ciężką linę do wnętrza kosza.

Mijały znowu godziny, balon leciał wolno i nisko, gdyż powłoka nasiąkła w nocy śniegiem i deszczem, ciążyła ku ziemi. Zaczęto myśleć o lądowaniu, jednak właśnie las stanął na przeszkodzie. Trzeba było, aby balon go „przeskoczył“. Trochę wypuszczonego piasku, pomogło mu do tego skoku, ale miejsce okazało się nieodpowiednie. Znowu sporo czasu upłynęło, aż wreszcie kapitan odkręciwszy sobie dokoła dłoni czerwoną taśmę rozrywacza, zakomenderował: Chwycić się obręczy!

Podskoczyli wszyscy w koszu w górę i zawiśli na rękach nie dotykając nogami dna, gdy tym czasem kapitan pociągnął taśmę w dół. Powłoka balonu rozpruła się, wysokość jego opadła do ⅓ na bok, a kosz z ludźmi osiadł na ziemi. Podróż była skończona.

———oOo———

Niespodzianki wyprawy myśliwskiej

Opowiedział Marian Warta. (Ciąg dalszy)

— A jakżeż tu w ogóle z roślinnością? — pytali, widząc w okolicach Limy, oprócz jasno-zielonych pól trzciny cukrowej i bogatych ogrodów bananów, przeważnie jałową pustynię, grubym żwirem zasypaną, a dalej dzikie skały, ciągnące się aż pod szczyty Andów, które swój wieczny śnieg kryją po za gęstą mgłą w zimie, a latem za chmurami.

— O, nasza roślinność mizerna; pod wpływem mgły całe pomorze pokrywa się krótko-trwałą trawą żółto-zieloną, a kiedy nastaje pora sucha, czołgają się po zagłębieniach górskich prawie tylko jedyne „tillandsy“, wiecznie zeschłe, bez życia... Więc pod tym względem będzie panom w naszych stronach trochę smutno. Ani tu ptactwa na równinie limańskiej nie wiele. Najwięcej czarnych ścierwników, które ciągną gromadnie gdzie kolwiek poczują padlinę, a ustępują tylko przed królem Andów, kondorem, o pomarańczowej głowie i czerwonym grzebieniu. Nad uprawnymi polami, oprócz muchołówki, zimorodka i czarnego wróbla, spotkacie tylko czasem hałaśliwe pa-

pużki. Są wprawdzie u nas dwa gatunki koliberków, ale je rzadko można zobaczyć: jeden z nich jak motyl siada na różowe dzwonki, kwiaty dzikiego tytoniu, a drugi wychyliwszy dwa długie piórka w ogonie, kręci się po żółtych kwiatach mimozy.

Wszystkie wiadomości przyrodnicze, jakich nowym przybyszom udzieliła panna Róża, sprawdzili oni sami w następnych dniach na przechadzkach i przejażdżkach po równinie Rimaku, odbywszy też wycieczki to do kąpieli morskich w Chorillos, to znów nad rzekę Lurin dla obejrzenia ruin świątyni, starszej znacznie od Limy, a poświęconej bóstwu starożytnych Peruwian, imieniem Pachacamac.

Przekonali się wówczas, że okolice Limy są jeszcze uboższe w zwierzęta ssące, aniżeli w ptaki — i że prócz myszy i nietoperzy spotkać można tylko pomorskiego lisa i sarnę, kryjącą się w rzadkie i niskie zarośla nadrzeczne.

To też było im śpieszno na zapowiedzianą wyprawę myśliwską, bo spodziewali się tam zaznać wiele ciekawych wrażeń.

W oznaczony dzień Raul z Karolem, w towarzystwie wuja i Wiktora, zjawili się odpowiednio ubrani i uzbrojeni w porcie Callao, skąd zabrawszy zamówionych Malajczyków, wybrali się statkiem na północ i po niedługim czasie znaleźli się w zatoce Chimbote.

Jest ona okolona lądem ze wszystkich stron, a prowadzą do niej trzy wąskie cieśniny. Te trzy ramiona morskie rozcinają chroniący zatokę grzbiet gór na dwie wyspy, jedną maleńką północną, a drugą większą, wydłużoną ku południowi.

Jeszcze bardziej na południe zamyka zatokę grzbiet wzgórz, które stanowiłyby trzecią wyspę, gdyby nie wąski pas piaszczysty, łączący go ze stałym lądem. Mamy tu zatem półwysep i to zupełnie bezludny, dziki.

Znali go dobrze myśliwi polujący na lwy morskie, których zawsze takie mnóstwo na tym półwyspie i w jego okolicy spotykano, że, jak się pan Worms wyrażał, można tam było bić je kijami, wyskakując szybko z łodzi na ląd i napadając wylegujące się nieruchomo na słońcu zwierzęta, zanim się schronią do morza.

Stanowiło to właśnie cel wyprawy gromadki naszych znajomych. C. d. n.

LOGOGRYF

1 . . ● . .
2 . . ● . .
3 . . ● .
4 . . ● . .
5 . . ● . .
6 . . ● . .
7 . . ● . .
8 . . ● . .

Znaczenie wyrazów: 1. On pierwszy przygotowuje późniejszy chleb. 2. Sztuka teatralna z muzyką. 3. Święta księga u mahometan. 4. Zwierzę bardzo pożyteczne. 5. Tak nazywamy dziewczynkę zbyt wiele i bez sensu gadającą. 6. Inaczej bój. 7. Imię żeńskie. 8. Bardzo pożyteczny sprzęt domowy.

Litery środkowe czytane z góry na dół, dadzą nazwę najnowocześniejszej maszyny, której wynalezienie jest chlubą geniuszu ludzkiego.



Tylko taką rybkę złowił pewien chłopczyk na wędkę w Kalifornii